

S Z U M

05.01.2018

„Beksiński – Dmochowski. Listy 1999-2003”

Zdzisław Beksiński, Piotr Dmochowski

Będąc już starcem patrzę na ten cyrk z pobłażliwością. Pamiętam gdy byłem młody i moi kumple wieszali psy na polskich kolorystach. Potem po 10 latach, moi kolejni kumple, zaczęli wieszać psy na Kantorze. Teraz ja jestem od wieszania na mnie psów, a wszyscy moi kumple z tamtych okresów zrobili się starzy, oburzają się i zapomnieli już co robili przed 40 laty. Ja byłem chyba inny.

Wtorek, 20 sierpnia 2002, 22:54

Jesteś cholernie lakoniczny, a to przecież ja mam dysleksję. Na dodatek dwa dni zajęło mi kupowanie jakiejś bluzy, bo w tej która ma już 8 lat wyglądam gorzej niż kloszard, a jakaś Tomka koleżanka zawiadomiła mnie, że w niedzielę 25 będzie msza w jego intencji. Tomek był zdeklarowanym i agresywnym ateistą, a ja jestem obojętny religijnie, tym niemniej nie chciałym robić demonstracji i chcę pójść skoro zostałem zawiadomiony i niejako zaproszony. No, ale co ubrać? Dwukrotnie straciłem po 3 godziny na szukanie czegoś na grzbiet i należałoby uznać, że jestem człowiekiem wybrednym, a chciałem mieć prostą bluzę bez podszewki, która nie powinna wyglądać ani wytwornie, ani elegancko, ale też nie powinna wyglądać jaskrawo. Okazało się to problemem nie do przeskoczenia. W jakimś Cottonlandzie, który mi polecono, dostałem w końcu coś, co potem okazało się nie bluzą, ale koszulą, więc szukałem dalej i dostałem w końcu bluzę, która być może nie jest koszulą, ale jak okazało się potem z faktury jest strojem pułkownika Bundeswehry, bo nie mogąc nic znaleźć wlałem nieświadomie do sklepu

military. Pani, która przychodzi sprzątać, odpruje mi w piątek wszystkie dystynkcje, ale boleśnie czuję się poniżony strojem pułkownika. Mam lat 73 i powinienem mieć co najmniej rangę emerytowanego feldmarszałka, a nie jakiegoś pułkownika z czteroletnią służbą. Metka wskazuje, że to pochodzi z magazynów Bundeswehry z 1997 roku, więc widać co jakiś czas upłynniają stare zapasy. Więcej szukać nie będę. Po co mi to było? Otóż na internetowym zdjęciu sprzed konferencji prasowej w związku z wystawą, o którą pytasz, zobaczyłem sam siebie i zapłakałem nad własnym strojem. Byłem na tej konferencji (ale nie na otwarciu), udzieliłem 5 wywiadów do radia i 4 do telewizji, ale ocenę w stylu Mane Tekel Fares możesz przeczytać w Gazecie Wyborczej po

adresem: <http://www1.gazeta.pl/ku.itura/1,34169,974761.html>, z

której niedwuznacznie wynika, że kupowałeś ode mnie samo gówno, bo jedyne dobre rzeczy w swym życiu robiłem jako fotograf. Oczywiście to tzw. „młody krytyk” w sp.dnicy, który w szczególny sposób nie cierpi tego, co robię i nie pierwszy raz daje temu wyraz. To i tak wiele, że uznała, iż dobrze się zapowiadałem. Były też podobno inne recenzje, ale ja tego generalnie nie kolekcjonuję, a na Jarecką ktoś mi zwrócił uwagę. Mój stosunek do tych prac jest taki jak do rosółu na własnych kościach. To były czasy Bieruta, Ochaba, a potem pierwsze lata Gomułki. Gdzieś w rejonie Chrztu Polski i Bitwy pod Grunwaldem. Zapomniałem już, że wtedy już byłem na świecie. No to na razie. Mam nadzieję, że wypoczęliście?

Pozdrowienia. Zdzisław

Środa, 21 sierpnia 2002, 14:05

Do mnie zawsze bardzo zapraszam i będę się bardzo cieszyć, ale wystawa chyba nie jest warta oglądania. Przynajmniej ja tak to widzę. Z innej beczki, to w końcu jestem już właścicielem zrujnowanej kawalerki z wnęką kuchenną, która znajduje się obok mego mieszkania. Sprawa przeszła już przez notariusza (aplikantka u notariusza ma męża redaktora, więc od razu mam kolejny wywiad w perspektywie – znowu będę mówić to samo – już mnie to tak nudzi, że przyszło mi do głowy, iż mógłbym każdorazowo zmyślać jakieś rzeczy). Dałem za tą kawalerkę dwupokojowe mieszkanie z kuchnią, wykończone w ub. roku na wysoki połysk z nowymi oknami, parkietem, nowymi nieużywanymi meblami, nowym nieużywanym wyposażeniem kuchni wraz z nowymi: kuchenką, lodówką etc., z nowym radiem, odczytywaczem kompaktowym i nowym nieużywanym telewizorem PHILIPS z płaskim monitorem. Do tego dopłaciłem jeszcze miłej pani 25.000 zł, aby ją w końcu usatysfakcjonować, bo uważała, że wymiana jest dla niej nieopłacalna. Teraz są tutti contentati, a przede mną remont kapitalny – no, ale będę już mieć gdzie pomieścić księżną gospodynię, o ile zaszłaby taka potrzeba. Zrobiłem najgorszy interes mego życia, jeśli spojrzeć na to od strony finansowej, ale jak już powiedziałem: jestem zadowolony.

Pięknie pozdrawiam. Zdzisław

Gazeta.pl:
„Szkoda zdjęć”
Dorota Jarecka

Wystawa wczesnych prac Zdzisława Beksińskiego w Zachęcie Fotografii, kolaże i fotograficzne montaże tworzone przez Zdzisława Beksińskiego od połowy lat 50. i pochodzące ze zbiorów specjalizującego się we współczesnej fotografii Muzeum Narodowego we Wrocławiu to przykład nurtu powojennej polskiej sztuki, który wiąże się z powrotem do stylistyk awangardowych. Zarówno w malarstwie, jak w rzeźbie, projektowaniu, architekturze i fotografii miało wówczas miejsce odświeżające przypomnienie nowoczesnej formy.

Ciało z duchem przedwojennym

Urodzony w roku 1929 Beksiński, w 1952 ukończył Wydział Architektury Politechniki Krakowskiej i zajął się twórczością fotograficzną. Musiał dobrze znać osiągnięcia europejskiej awangardy – zarówno dzieła Mana Raya, jak i eksperymenty z heliografią ł.dzkiego awangardowego artysty Karola Hilera. Trudno byłoby sobie wyobrazić twórczość Beksińskiego bez doświadczeń w organizowaniu przestrzeni artyst.w z kręgu Bauhausu, jak i perwersyjnej fotografii surrealistów.

„Jean Arp” zatytułował Beksiński fotografię z roku 1953 – to widziane z bardzo bliska szyja, ramię i twarz kobiety w mocnym słońcu. Silne kontrasty świetlne tworzą grę abstrakcyjnych form. Płynne linie podziałów między partiami jasnymi, a ukrytymi w cieniu przypominają formy znane z rzeźb i rysunków Jeana Arpa, rzeźbiarza i malarza związanego z dadaizmem. Trzeba było sporo duchowej niezależności, by w roku 1953 zadedykować fotografię temu mistrzowi zmysłowych i abstrakcyjnych form.

W tej fotografii ciało ujęte jest monumentalnie, a więc zgodnie ze stylem socrealistycznym, ale jest w niej także obecny duch przedwojenny – kultu młodości, tężyzny i sportu – oraz całkowicie obca epoce wczesnych lat pięćdziesiątych siła erotyczna.

W połowie lat 50. powstają akty kobiece, zespół prac wyjątkowych nie mający odpowiednika ani w polskiej fotografii, ani w malarstwie tamtego czasu. Ciekawe kadry czynią z kobiecego ciała abstrakcyjną rzeźbę.

Na tym nie wyczerpuje się inwencja Beksińskiego. Czerpiąc z doświadczeń współczesnej sztuki, potrafi on zbudować własny charakterystyczny styl.

Tworzy portrety, interesuje go twarz, z której wydobywa niezwykle moment zadumy lub przestachu. Kadr jest pracowicie i pomysłowo zaaranżowany. Nie ma tu banału i taniej metafizyki.

W fotomontażach z przełomu lat 1958-59 – najpóźniejszych z prezentowanych prac – brzmi nuta już nie melancholii, lecz grozy.

Dramatyczne zestawienia obraz.w przypominają fotomontaże niemieckich dadaistów Heartfielda, Hannah Hfch i naszego Kazimierza Podsiadeckiego.

Tyle że to już nowe czasy – buntu nie tyle społecznego czy politycznego,

ale egzystencjalizmu. Kompozycje te są ważnym zjawiskiem w polskiej sztuce – nawiązując do tradycji przedwojennego fotomontażu, zapowiadają także następne epoki łącznie z dzisiejszą, kiedy to wstrząs moralny i estetyczny stał się jednym z popularnych środków wyrazu sztuki.

Jak dawniej tak i dziś wzbudzasz skrajne wrażenia i to zarówno w Polsce jak i na Zachodzie.

Do naszej galerii wchodziłi ludzie, którzy chcieli płacić wejście, bo gdy były Twoje wystawy myśleli, że to muzeum. Tak jak wszyscy ci panowie z Centrum Pompidou, przechodząc obok w drodze do biura, nigdy nie zapomnieli plunąć przed moimi drzwiami.

Oko, nie ręka

Twórczość Zdzisława Beksińskiego pokazywana na tej wystawie sięga roku 1959. Co robił później ten doskonały fotografik, autor fotomontaży? Uczynił coś bardzo dziwnego. Przestał fotografować. Zajął się malarstwem. To zaskakujący wybór. Jednak prawdopodobnie wielu fotografików staje przed decyzją, czy próbować czegoś innego. Czegoś więcej? Kłopot w tym, by dobrze wybrać. W „Rozmowach z Picassem”, które spisał słynny francuski fotografik Brassai, Picasso naciska w pewnym momencie na swego rozmówcę, by prócz fotografowania zaczął także rysować, by poświęcił się wreszcie prawdziwej sztuce: „Ma pan pewien talent i nie chcę go pan wyzyskać!”, mówi do Brassai oburzony Picasso. Ten tłumaczy, że odpowiada mu właśnie to ograniczenie, jakim jest fotografia! Ma zresztą świadomość własnego talentu: „Dysponuję okiem – mówi – ale nie dysponuję ręką, nie mam prawa dotykać przedmiotów...” Brassai ujmuje tutaj istotę fotografii jako autonomicznego gatunku sztuki. Fotografia nie jest substytutem rysunku czy malarstwa. Jest odrębną dziedziną, która rządzi się swoimi prawami. Jeśli fotografik wydaje się bardziej posłuszny rzeczywistości niż malarz, bardziej jej podporządkowany, to wcale nie znaczy, że nie ma wizji. Przeciwnie – stworzyć własną wizję w sztuce tak dyskretniej, tak zdystansowanej wobec świata jak fotografia, to jest dopiero mistrzostwo!

Każdy może

Czemu Beksiński porzucił fotografię, mając talent na miarę Brassai? Bo prawdopodobnie myślał o niej tak jak Picasso, czyli źle: jako o gatunku niższym, który prawdziwemu artyście nie wystarcza. Jeszcze w latach 50. fotografia była postrzegana – zwłaszcza w mało postępowej artystycznie Polsce – jako kierunek właściwie użytkowy, jeśli nawet wymagający wybitnych technicznych sprawności, to na pewno nie tak szlachetny jak malarstwo olejne. Nie była to gleba, na której żywo

mogłaby wzrastać awangarda. Zresztą i dzisiaj wiele się w tej kwestii u nas nie zmieniło, a głosy odmawiające fotografii statusu dzieła sztuki nie należą do rzadkości. Przecież każdy może zrobić zdjęcie, i tutaj właśnie tkwi pułapka. Bo malować też każdy może, co udowodnił dalszą twórczością Zdzisław Beksiński.

Jako fotografik wyrafinowany, oszczędny, idący po czystej awangardowej linii, jako malarz sięgnął do repertuaru fin de sieclu w najgorszym, tandetnie metafizycznym, wydaniu. Na jego obrazach pojawiły się stłoczone widma, szkielety i upiory. Malował je i maluje do dzisiaj z taką mimetyczną pasją, jakby chciał, by widz wyciągał rękę w ich kierunku i je macał. To, co stanowiło o wartości jego fotografii, w malarstwie zostało zgubione, a nawet zaprzeczone.

Na nic upiory

Patrząc na wystawę w Zachęcie, myśli się o późniejszej malarskiej twórczości Beksińskiego jako o zerwaniu z obraną wcześniej drogą, jako o tragicznej pomyłce, tym tragiczniejszej, że znalazła natychmiastowy poklask. Uważny widz zauważy jednak i pewną wspólnotę. Już w tej wczesnej twórczości jest przecież wyczuwalny klimat, który – choć wyrażony innymi środkami – trwa w niej do dzisiaj. Zdjęcia z drugiej połowy lat 50. mówią o ulotności bycia, o nadchodzącej pustce, o tym, co zmierzcha i odchodzi. Ale w fotografii, i na tym polega jej wartość, wszystko to jest powiedziane w sposób subtelny, z pomocą aluzji, sugestii. Autorowi to nie wystarczyło. Niestety Zdzisława Beksińskiego było to, że chciał być dobrze zrozumiany. Najpierw przez kilka lat tworzył poezję wysublimowaną, czytelną dla nielicznych, ale za to najwyższego lotu. Przez następne 40 postanowił to wszystko przełożyć na język wulgarnego komiksu. Gada do tej pory, strasząc, dopowiadając do końca, wyobrażając gnijące ścierwa i szkielety, malując wymarłe miasta, pajęczyny, trupie poświaty, mgły i dymy w kolorze mułu i popiołu. Wszystko na nic. Poezji nie da się wyłożyć slangiem. Zdzisław Beksiński: „Fotografie 1953-1959” z kolekcji Muzeum Narodowego we Wrocławiu, kurator Adam Sobota, galeria Zachęta, Warszawa, do 8 września

Wręcz nie cierpię polemiki na własny temat, szczególnie, gdy biorą w niej udział ludzie aprobujący to, co robię, bo w końcu wychodzi z tego taki zakalec, że nie mam ochoty zgodzić się ani z wrogami, ani z obrońcami. Takich rozmaitych pozytywnych i negatywnych artykułów są dziesiątki, bo prasa obecnie jest szalenie rozbudowana w stosunku do okresu realnego socjalizmu.

W końcu nic w tym artykuliku nowego. Jak dawniej tak i dziś wzbudzasz skrajne wrażenia i to zarówno w Polsce jak i na Zachodzie. Do naszej galerii wchodzili ludzie, którzy chcieli płacić wejście, bo gdy były Twoje wystawy myśleli, że to muzeum. Tak jak wszyscy ci panowie z Centrum Pompidou, przechodząc obok w drodze do biura, nigdy nie zapomnieli plunąć przed moimi drzwiami. De gustibus non est disputandum (jeśli tak się to pisze...). Ten artykulik tym tylko złośliwszy, że z jednej strony chwali, a z drugiej powołuje się na kilka nazwisk. A to robi wrażenie naukowej znajomości rzeczy.

Gdybym wiedział, że mi opublikują odpowiedź, to mimo iż przyrzekłem sobie, że już więcej w Ciebie inwestować żadnej pracy nie będę, to bym odpisał. Ale pisać sobie, a muzom mi się nie chce.

Niemniej w oczach tutejszego środowiska malarstwa fantastycznego jesteś jedną z najważniejszych postaci obok Hernandeza, Gigera, Fuchsa i Henricot.

Piotr

Środa, 21 sierpnia 2002, 15:40

Drogi Piotrze,

Jeszcze jedno. Wprawdzie zastrzegasz się, że nie będziesz pisać jeśli Cię nie opublikują, ale zaniepokoiłem się, że nagle Ci jednak odbije i spróbujesz to zrobić. Nie mogę Ci oczywiście zabronić, ale naprawdę szkoda byłoby wysiłku! To są wprawdzie wykształceni ludzie, o ile przez wykształcenie rozumieć ukończenie studiów i przeczytanie wielu książek na temat, ale mają straszliwie uproszczoną psychikę i właściwie wszystko, co piszą to głupstwo, z którym nie warto polemizować. Nie piszę tego dlatego, że ta pani nie lubi tego co robię i daje temu publicznie wyraz, bo – jak chyba wiesz, umiem znieść słowa krytyki i nie jestem nadwrażliwy. W końcu równie bez sensu mnie chwalili za to, co robiłem. To jest takie szkolne wypracowanie. Witkacy przytoczył raz powiedzenie kt.regoś ze znanych grali: „co tam bedzies z głupim gadol” i to właściwie wyczerpuje sprawę.

Pozdrowienia. Zdzisław

21 sierpnia 2002

Z artykuliku dowiedziałem się, że wystawa trwa do 8 września. Staram się przekonać Anię, że ponieważ nie mamy absolutnie żadnych obowiązków do tego czasu, to przecież moglibyśmy wpaść do Warszawy na kilka dni, żeby ją zobaczyć.

Tak też chyba zrobimy. Ania po namyśle mówi mi, że moglibyśmy się wybrać 4 września i wrócić w niedzielę 8-go. Przy sposobności wpadniemy do Ciebie.

Piotr

22 sierpnia 2002

Pozostawienie tego artykułiku bez odpowiedzi wydaje mi się błędem. Ktoś odpowiedzieć powinien. Jeśli nie chcesz żebym to zrobił ja to może Skrodzki lub Nyczek? Ale nie skontrolowanie takiego jadu pozwoli mu przyczepić się do ludzkich pamięci i szkodzić na długą metę, bo jest zręczny i poparty nazwiskami, a więc „naukowy” i obiektywny.

Piotr

Czwartek, 22 sierpnia 2002, 14:28

Drogi Piotrze,

Mam inną optykę. Wręcz nie cierpię polemiki na własny temat, szczególnie, gdy biorą w niej udział ludzie aprobujący to, co robię, bo w końcu wychodzi z tego taki zakalec, że nie mam ochoty zgodzić się ani z wrogami, ani z obrońcami. Takich rozmaitych pozytywnych i negatywnych artykułów są dziesiątki, bo prasa obecnie jest szalenie rozbudowana w stosunku do okresu realnego socjalizmu. O artykule w Gazecie Wyborczej (to fakt, że jest to jeden z największych, o ile nie największy dziennik w Polsce) dowiedziałem się przypadkiem, bo o godzinie 22 zadzwonił do mnie z Katowic stary kumpel-malarz z radą, bym nie przejmował się artykułem w Wyborczej. Odpowiedziałem, że artykułu nie znam, bo w ogóle żadnych dzienników nie kupuję (za życia Zosi kupowaliśmy Wyborczą) i w ogóle mam takie rzeczy w dupie. Rozmawialiśmy chwilę na inne tematy, po czym ciekawy co tak ubodło Andrzeja poszukałem w internecie (bo kioski już o tej porze były nieczynne) i przeczytałem artykuł Jareckiej, przypominając sobie, że nie pierwszy raz wybrzydza się na mnie i to trochę podobnie jak to robił Woźniakowski, używając za każdym razem argumentów dokładnie z tego samego worka jak to: szkielety, landrynkowe kolory, horror, komiks etc. – kompletnie na aut, więc najprawdopodobniej nie za dobrze znając to, co robię. Ponieważ o ile wiem dzieli ich ze dwa lub nawet trzy pokolenia (Woźniakowski jest grubo starszy ode mnie), to nawet zacząłem domniemywać, że była jego studentką na KULu. Wysłałem ten artykuł kilku znajomym, bo wręcz uwielbiam gdy piszą o mnie źle. Jareckiej w ogóle nie znam, natomiast Woźniakowskiego poznałem przed wielu, wielu laty i nawet swego czasu popierał gorąco moją kandydaturę na stypendium Forda czy też jakieś inne w USA. Potem straszliwie się na mnie zawiódł i od tej pory demonstracyjnie (!) nie chce obejrzeć moich obrazów, nawet jeśli w tym celu trzeba by wejść przez drzwi, od których dzieli go kilka metr.w (tak mi opowiadał Banach, że na propozycję zobaczenia mego zbioru w Muzeum, Woźniakowski się aż wzdrygnął). Będąc już starcem patrzę na ten cyrk z pobłażliwością. Pamiętam (jakże niedawno to było) gdy byłem młody i moi kumple wieszali psy na polskich kolorystach. Potem po 10 latach, moi kolejni kumple, zaczęli wieszać psy na Kantorze. Teraz ja jestem od wieszania na mnie psów, a wszyscy moi kumple z tamtych okresów zrobili się starzy, oburzają się i zapomnieli już co robili przed 40 laty. Ja byłem chyba inny. Nie czułem nigdy potrzeby walki z „betonem” i gdy w końcu sam robię za beton, mam to wszystko w dupie. Aby kształtować opinie po swojej myśli (bo Ty należysz do ludzi którzy pragną opinie kształtować) trzeba być

właścicielem sieci publikatorów lub ministrem kultury w państwie totalitarnym (co na jedno wychodzi). Inni są bez szans i to zarówno Ty jak i Jarecka. Najrozsądniejsze zdanie na ten temat powiedział bodajże Wańkowicz: „obojętnie jak piszą, dobrze czy źle, byleby pisali z nazwiskiem”. Pod tym względem nie mogę obecnie narzekać z tym, że piszą najczęściej nie tyle dobrze lub źle, ile najczęściej głupio i to zarówno ci, którzy mnie akceptują jak ci, którzy mnie nie znoszą.

Trzymaj się. Zdzisław

Gdy jeszcze pisałem moją książkę, zastanawiałem się nad karą śmierci. Już jej nie potępiałem. Ale również jej nie chwaliłem. Lata mijały, a wściekłość i nienawiść rosły. Wrogów było coraz więcej, bo już nie tylko chodziło o tych, którzy śmiali mi się w nos, gdy przedstawiałem Twoje obrazy, ale doszli do nich wszyscy, którzy jeżdżą jak dzikusy na jezdni i narażają mnie na kalectwo, doszedł do tego Ariel, Sharon i kilku panów w jego stylu oraz wielu takich, którzy sami by mnie powiesili, gdyby mogli.

22 sierpnia 2002

Ministrem (Pierwszym) totalitarnego kraju chętnie bym został, a to by móc wywieszać kilka tysięcy ludzi, którym życzę najgorszego, a których nigdy nie uda mi się ugryźć tak, iż umrą spokojną śmiercią, nawet nie dowiedziawszy się o moim istnieniu.

Jest w tym porównaniu mnie do małego Hitlera coś słusznego. Podejrzewam, że gotowała się w nim i wypełniała go potężną energią uraza estetyczna. Jako jeden z nielicznych polityków był artystą o głębokim poczuciu piękna. Nie było to piękno, któremu sam bym uległ, ale fascynuje mnie tym, że potrafił kochać artystów (nawet, jeśli nie byli to artyści, których ja bym kochał, – choć Leni Riefenstahl była wspaniała, a Arno Breker nie był gorszym rzeźbiarzem niż na przykład Maillol, zaś sam Hitler miał u siebie jedną z wersji wyspy zmarłych Bocklina, a obraz jest przepiękny, bo mogłem go ocenić własnymi oczyma) i otaczać się nimi, kupować setki obrazów na wielu wystawach, popierać sztukę, budować gigantyczne, piękne gmachy etc. Toteż rozumiem też, że tak potrafił nienawidzić tych, którzy jego poczucia piękna nie podzielali.

Głębokie poczucie piękna daje wrażenie posiadania absolutnej prawdy. Ci, którzy jej nie podzielają, nieodparcie wydają się być kłamcami, którzy przeczą

oczywistości. A więc coś dziwnego, że ich nienawidził? I ja bym powiesił profesora Akademii Sztuk Pięknych, który nie podzielałby moich gustów do tego stopnia, żeby mi odmówić wstępu na uczelnię. I ja bym urządził moją wystawę sztuki zdegenerowanej, w której znaleźliby się tacy Bałka, Duchamp i jego ready made, monochromy Kleina czy gówna artysty w konserwie Manzoniego oraz kilkuset innych konceptualistów, czy podobnych twórców jarmarcznych rozrywek.

Jeśli nie Ciebie bym wieszał, to przynajmniej przez Ciebie.

Zawsze byłem cholerykiem. Od najwcześniejszego dzieciństwa tupiałem nogą, a kolegów nawalałem pięściami. Lecz do dojrzałego już wieku nie przekraczało to przyzwoitych granic. Nikomu śmierci nie życzyłem i pamiętam nawet, iż któregoś razu zapytałem sam siebie: czy uśmierciłbym kogoś, gdybym mógł to zrobić bezkarnie? Po chwili zastanowienia nad jedynym kandydatem zrezygnowałem z wieszania.

Po czym przyszła ta cała walka o wylansowanie Ciebie na Zachodzie. I tu zacząłem żyć prawdziwym życiem i spotykać prawdziwych wrogów. Powoli się to nawarstwiało. Gdy jeszcze pisałem moją książkę, zastanawiałem się nad karą śmierci. Już jej nie potępiałem. Ale również jej nie chwaliłem. Lata mijały, a wściekłość i nienawiść rosły. Wrogów było coraz więcej, bo już nie tylko chodziło o tych, którzy śmiali mi się w nos, gdy przedstawiałem Twoje obrazy, ale doszli do nich wszyscy, którzy jeżdżą jak dzikusy na jezdni i narażają mnie na kalectwo, doszedł do tego Ariel, Sharon i kilku panów w jego stylu oraz wielu takich, którzy sami by mnie powiesili, gdyby mogli.

Tak więc, gdybym był generałem, urodził się w Chile i nazywał Pinochet, to pierwszego już dnia mojej dyktatury wysłałbym dziesięć eskadronów śmierci w teren. Tyle tylko, że nie zabijałbym tych samych, co on, ale na pewno robiłbym to z taką samą starannością.

A co do kary śmierci, to moje poglądy tak się zmieniły, iż o ile kiedyś byłem zagorzałym abolicjonistą, to dziś uważam, że w kraju o rozmiarach Francji powinno się wykonywać około 500 egzekucji rocznie na to, by radykalnie wytępić przestępczość.

Równolegle zauważyłem, że coraz bardziej jestem wrażliwy na cierpienie zwierząt. Doszło do tego, że jeśli w telewizji zapowiada się śmierć jakiegokolwiek zwierzęcia, to natychmiast zmieniam kanał, bo nie mogę na to patrzeć.

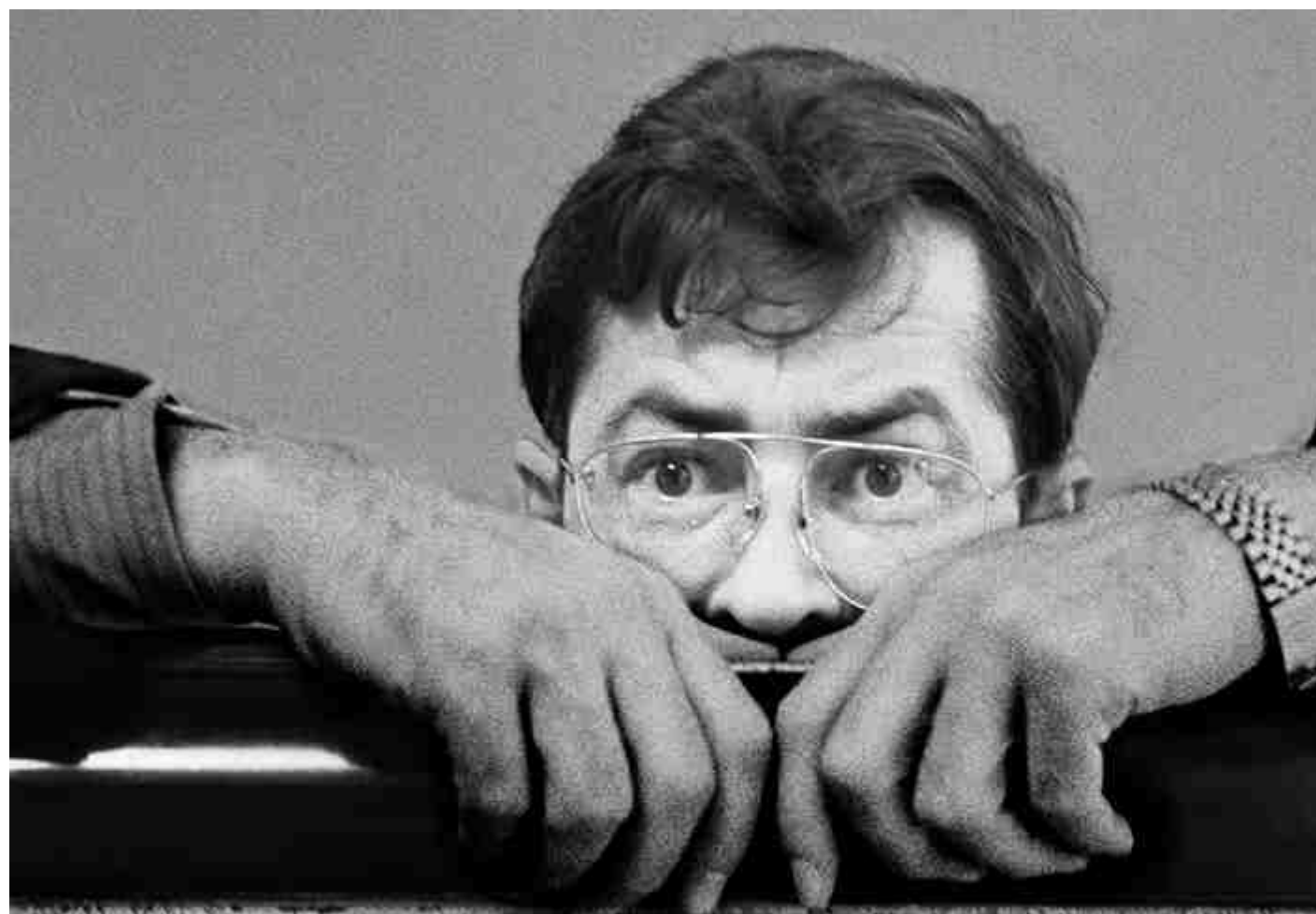
Nie zabijam nawet much tylko je łapię i wyrzucam za okno. Jedyna śmierć, jaką zadaję to komarom, gdy mnie gryzą. Ale i tu za każdym razem mam chwilę wahania.

W sumie u Nerona czy u Hitlera fascynuje mnie to połączenie okrucieństwa w stosunku do tego, co najohydniejsze na ziemi, to znaczy do ludzi, z ich

najgłębszym umiłowaniem sztuki (u Hitlera) i zwierząt.

Piotr

Środa, 22 sierpnia 2002, 23:41



BEKSIŃSKI - DMOCHOW

Listy

199



Boże! Agresji w Tobie jeszcze więcej niż było w Tomku, ale gdy przeczytałem to zdanie o wieszaniu, to tak jakbym usłyszał zza grobu mego pierworodnego. Wypadałoby jednak dziękować Najwyższemu, że nie namaścił Cię na dyktatora, bo wtedy zapewne byłbym jednym z pierwszych, których byś powiesił. Opowiadał mi Ochman, że rozmawiał z wiekowym już synem polskiego profesora malarstwa na Akademii wiedeńskiej (nie pomnę nazwiska). Otóż ten profesor dwukrotnie sprzeciwił się przyjęciu studenta Schicklgrubera na Akademię, mimo iż inni członkowie komisji gotowi go byli przyjąć. Gdyby student Schicklgruber został artystą, nie wstąpiłby jako ochotnik do armii, nie napisał Mein Kampf i nie mielibyśmy II wojny światowej. Oczywiście niejaki Plechanow zapewne powiedziałby, że nie mam racji, bo był zdania, że to rzeczywistość tworzy swych bohaterów, a nie oni rzeczywistość i historia zapewne pomazałaby zastępcę na miejsce Hitlera. Ciekaw jestem czy jakby artysta Bałka urodził się przed stu laty, miałby szansę dostania się na Wiedeńską akademię? Idę spać, bo zasnę nad klawiaturą.

Dobranoc. Zdzisław

Publikacja stanowi fragment książki *Beksiński – Dmochowski. Listy 1999-2003*.